
RVI DZISNA 1936

NASZ DWUMIESIĘCZNIK
NAUKOWO
LITERACKI I SPOŁECZNY **GŁOS**

ORGAN MŁODZIEŻY
SZKOLNEJ



PANSTWOWE GIMNAZJUM
MKS. G. PIRADOWICZA.

Treść numeru 2.

1. Z przeszłości Dżisny.
2. Grobowce w pow. dziśnieńskim.
3. Wieś kresowa a my.
4. Moja wieś wczoraj i dziś.
5. Zjazd wychowanków gimnazjum dziśnieńskiego.
6. Don Kichot.
7. O zmierzchu.
8. Dwa pokolenia.
9. Legendy kresowe:
 - a) Legenda o licyperze.
 - b) Mogiła wiedźmy.
 - c) Legenda o błotniku.
 - d) Opowieść mojej Mamusi.
10. „Andrzejki“ na wsi.
11. Nasze nagrody.
12. Rozrywki umysłowe.
13. Kalendarz reportera.
14. Kronika z Wilna.
15. Odpowiedzi Redakcji.
16. Regionalny dodatek muzyczny.

NASZ GŁOS

DWUMIESIĘCZNIK NAUKOWO-LITERACKI i SPOŁECZNY
ORGAN MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Z przemówienia w rocznicę powrotu z Magdeburga.

(15 listopada 1925 r.).

15386

„Zdawało mi się także, że gdy idzie o odrodzenie bytu państwowego, o którym zaledwie zdaliśmy marzyć w ciszy, — musi z tem formalnem odrodzeniem iść odrodzenie duszy Polaka, duszy, odrodzonej dla dania siły i mocy przy konieczności przetrwania i przewalczenia początków naszego życia.“

Józef Piłsudski Pisma — Mowy — Rozkazy t. VIII str. 398.



232923

Z przeszłości Dzisny.

Otrzymaliśmy list od p. Ottona Hedemanna, w którym wielki przyjaciel Dziśnieńszczyzny znowu daje świadectwo swego życzliwego do nas i do „Naszego Głosu” stosunku. Donosi o swoich nowych pracach, dopytuje się o losy naszego pisma. M. in. pisze nam p. Hedemann o tym, że natknął się w swoich poszukiwaniach historycznych na ważny przyczynek do historii naszego miasta w okresie Targowicy, a mianowicie: w „Dzienniku Szkoły Uszackiej”¹⁾ znalazł pod datą 30 maja 1792 r. następującą wzmiankę:

„Miasto Dzisna starościńskie na kilkakrotne naleganie i groźby nie dało się przywieść do przysięgi, dając przyczynę, iż innych przywilejów nie mieli, prócz Konstytucją 1791 r. Maja 3-go sobie dozwolonych, a gdyby się onych zrzekli, staroście musieliby, jak dawniej, pańszczyznę służyć”. (Tekst według Kroniki Rodzinnej rok 1888 str. 10-17).

Dlaczego to Dzisna opierała się Konfederacji Targowickiej? Szukając odpowiedzi na to pytanie najlepiej sięgnąć do „Dzisny i Druj”²⁾.

Podstawą rozwoju miasta Dzisny było nadanie przez Zygmunta Augusta dnia 12 stycznia 1569 r. przywileju na prawo magdeburskie. Dzisna posiada więc od tej daty szeroki samorząd wewnętrzny, własne niezależne sądy i inne udogodnienia, wypływające z nadanego przywileju.

Największym wrogiem mieszczaństwa była, jak wiemy, szlachta, patrząca niechętnym okiem na rozwój i dobrobyt miast, która doprowadziła wreszcie do ruiny kwitnące niegdyś za Jagiellonów ośrodki kultury, handlu i rzemiosła. Szlachta odnosiła się wrogo przede wszystkim do prawa magdeburskiego, które skutecznie broniło miasta przed zakusami wrogów. Niemile dotykało naszą zanarchizowaną w „złotej wolności” warstwę rządzącą, że jej samowola jest częściowo ograniczona przez autonomię miast. Dążności antymieszczańskie znalazły swój wyraz w prawodawstwie. Pierwsze na większą skalę ograniczenia wolności miast przynosi konstytucja z r. 1768 p. t. „Wa-

1) Uszacz (woj. połockie) miał od r. 1791 szkołę podwydziałową, prowadzoną przez X. X. dominikanów.

2) Otton Hedemann „Dzisna i Druja Magdeburskie miasta” Wilno 1934 str. 42-45 i 214-219.

runek miast i miasteczek Naszych Królewskich w Koronie i W. X. Lit.“ Konstytucja ta „chcąc Nasze miasta i miasteczka do dobrego przyprowadzić stanu“ zabrania zajmować się rzemiosłami ludzimi, nie wpisanym do miejskich ksiąg, ogranicza handel żydowski, odbiera miastom niezależność finansową rozkazując, aby magistraty wykazywały się przed starostami i dzierżawcami królewskimi ze wszystkich dochodów i rozchodów, a co najważniejsze: konstytucja mocno ogranicza sądownictwo mieszczańskie: „aby mieszczenie przed swym magistratem, a potem tak mieszczenie, jako i magistrat, in civilibus przed starostą odpowiadali“. Dla dopilnowania wykonania tych postanowień powołuje sejm specjalne komisje, w których skład wchodzi przede wszystkim starostowie i dzierżawcy.

Jeszcze dalej posunął się sejm w roku 1776 wydając ustawę, znoszącą prawie w całości szczupłe uprawnienia, które pozostały miastom po konstytucji z 1768 r. Sejm w punkcie 2. „Ustawy o podatku W. X. Lit.“ postanawia: „Ponieważ przez bawienie się mieszkańców miasteczek magdeburgskich nieumiejętnie utrzymywanym rolnictwem, a do kupiectwa, handlu i rzemiosł nie zachęcanych... zostawiwszy magdeburgie w Wilnie, Lidzie, Trokach, Kownie, Nowogródku Wołkowyżu, Pińsku, Mińsku, Mozyrzu, Brześciu i Grodnie.. wszystkie i wszelkie inne magdeburgie znośiemy“...

Obok wielu innych względów wpłynął na powzięcie tej zgubnej uchwały także wzgląd finansowy: po zniesieniu bowiem magdeburgii dochody miejskie idą przeważnie do skarbu i tylko w drobnej części zostają zużyte na potrzeby miasta.

Dzisiaj znalazła się w szeregu miast pozbawionych samorządu, a więc tym samym gwarancji swego dobrobytu i rozwoju. Miasto próbuje się bronić, wysłała w r. 1778 do Warszawy delegację w osobach Jana Woroszyłowa i Filemona Bouffała z poleceniem „iżby disponowali się utrzymać magistrat, jaki był nie naruszony a na przeszłym sejmie został ubliżony“. Popiera nawet te starania sejmik połocki polecając posłom na sejm w r. 1778, 1780 i 1784, aby stali się w sejmie, „iżby w mieście Dziśnie, pod samą granicą leżącym, ufundowanie magdeburgii, dla utrzymania wewnętrznej sprawiedliwości i bezpieczeństwa potrzebnej, na mocy dawnych przywilejów było dozwolone“.

Wszystkie jednak starania speliły na niczym — straconego przywileju miasto nie odzyskało. Uderza jednak to, że ogół szlachty połockiej był na tyle uświadomiony, że odnosił się przychylnie do miasta i bronił Dżisny przed apetytami starosty i dzierżawcy. Prze-

ciwnikiem magdeburgii jest przede wszystkim starosta; ogranicza bowiem ona jego kompetencje, a po jej zniesieniu staje się on panem miasta. Starosta kontroluje dochody i rozchody magistratu, sędzi wszelkie sprawy osobiście lub przez swych zastępców, ściągą podatki i inne opłaty skarbowe, ma decydujący wpływ na wybór starszyny miejskiej. „Wilk został stróżem owiec“ — pisze Korzon.

W 1788 r. wystosował starosta dziśnieński, Michał Koziół-Poklewski list do m. Dżisny, w którym oznajmia, że... z powodu zniesionej przez konstytucję 1776 roku w m. Dziśnie magdeburgii,... zwierzchność, rząd i jurysdykcja do mnie, starosty należą“... W tym liście donosi jeszcze, że ustanowił sąd podstarościński, od którego wyroków można się odwołać do starosty. List jest tak zakończony: „Ten własnoręczny list... wydaję tak, aby władzy mojej starościńskiej... nie uwłaczał oraz dochodom, co najmocniej dla mnie zastrzegam“.

W dwa lata później starosta znowu pisze list do magistratu, lecz ton tego listu jest już daleko ostrzejszy: „...Namiestnika m. J. K. M. Dżisny — obieram, który to namiestnik wszelkie sprawy z mieszczanami za naradzeniem się w ważniejszych rzeczach z assessorami sobie dodanymi, a między Żydami sam jeden załatwiając, nieposłusznych przykładnie karać, samych assessorów... na miejscu moim rozsądzać jest mocen i powinien będzie, apelacji do mnie, starosty, dozwalać inaczej nie może, jak tylko w sprawach 100 rubli wartujących,... któremu to w. jmc. p. namiestnikowi (aby wszyscy) posłuszni byli, uroczyście ostrzegam“.

Starosta, którego władza w stosunku do szlachty jest czasem tylko fikcją, jest jednak nie ograniczonym, nie kontrolowanym władcą miasta i może często nadużywać swoich uprawnień w stosunku do „łyżków“. Nic więc dziwnego zatem, że wyniszczone już uprzednio ciągłymi niepokojami i wojnami miasta podupadły do reszty.

Smutne te stosunki zmieniła radykalnie Konstytucja 3-go Maja. Szlachta się opamiętała i zrzekła się na rzecz państwa i innych warstw narodu części swej władzy, którą piastowała przez tyle wieków i której nie potrafiła użyć dla dobra ogółu, lecz używała dla swoich kastowych egoistycznych interesów. Mieszczanstwu zostały nareszcie przywrócone przynajmniej w części jego słuszne prawa. Sejm wydaje dnia 21 kwietnia 1791 r. prawo p. t. „Miasta Nasze Królewskie wolne w Państwach Rzplitej“, które przywraca skasowane uprzednio uprawnienia prawa magdeburgskiego, ukróca samowolę starostów, nadaje miastom szeroką autonomię sadowniczą i finansową.

Teraz staje się jasny i zrozumiały opór Dżisny przeciwko Targowicy. Jakże nie ma się bronić przed ruchem reakcyjnym, dążącym

do przywrócenia świeżo usuniętego zła? Zwycięstwo Targowicy oznacza dla Dzisny powrót do stosunków przed Konstytucją 3-go Maja, „staroście musieliby, jak dawniej, pańszczyznę służyć“..

Lecz cóż znaczy opór Dzisny, wielu innych miast i uświadomionej części szlachty wobec potęgi rosyjskich żołdatów, ciemnej masy szlacheckiej, Branickich, Potockich i Kossakowskich? Targowica zwyciężyła, niestety, i naród ciężko odpokutował za swoje i cudze winy.

Wskutek starań zdrajcy Szymona Kossakowskiego zawiązuje się także w województwie połockim konfederacja pod laską Jerzego Korsaka. Do konfederacji przystąpiły obok szlachty także przerażone groźbami miasta. Dzisna jednak nie kwapi się z przystąpieniem, chociaż wzywa ją do tego Korsak pisząc dnia 2 czerwca 1792 do magistratu m. Dzisny: „..Jest nieodbitą potrzebą, gdybyście w panowie przybyli tutaj (do Uszacza) jak najprędzej zaprzysiąc akt konfederacji. Lubo uniwersałami dano znać o tym całemu obywatelstwu tutejszemu, umyśliłem zwrócić się do nich osobnym tym listem, jako ich sąsiad i dobrze im życzący. Proszę, przybywajcie jak najprędzej, i naczem dam znać, że ich sentymenta są odmienne od powszechności“.. List nie odniósł żadnego skutku, i cała sprawa dochodzi do wiadomości Kreczetnikowa, głównodowodzącego wojsk rosyjskich, okupujących Wileńszczyznę. Kreczetnikow nie chce jednak stosować środków represyjnych i poleca podpułkownikowi Siwersowi, domagającemu się pomocy przeciwko Dzisnie, aby w pierw starał się wpłynąć na magistrat drogą pokojową. Dnia 12 czerwca zwraca się do dziśnian sekund-major Hinkul z następującym rozkazem: „J. w. p. głównodowodzący p. M. N. Kreczetnikow raczył polecić, bym ozaajmił mieszkańcom m. Dzisny, by byli oni we wszelkiej spokojności i posłuszeństwie, wykonując żądanie nasze, . . . w przeciwnym razie, jeśli wy tego nie spełnicie i nie usmierzycie sami siebie, wtedy wprowadzimy nasze wojska i postąpimy tak, że żaden dom wasz na swym miejscu się nie zostanie“. Widocznie nie poskutkowały nawet te groźby, bo dnia 24 czerwca zwraca się listownie do magistratu sam Kreczetnikow wzywając miasto do poddania się i grożąc, że w przeciwnym razie Dzisna zostanie zajęta przez wojska Najjaśniejszej Imperatorowej i dozna „... tych skutków, jakim buntownicze miasto podpada“.

Nie wiemy, czy Dzisna uległa tym żądaniom, czy dopiero nasłanym kozakom, jedno jest jednak pewne—dziśnianie spełnili dobrze swój obowiązek obywatelski opierając się długo groźbom targowiczian i ulegając dopiero przemocy wojsk Katarzyny.

Grobowce w pow. dziśnieńskim.

W gminie prozorockiej koło zapomnianych Czerniewicz znajduje się cmentarzysko Słowian. Osiedle Czerniewiczze nie stanowi nic specjalnego: kościół, cerkiew, parę sklepów i nic więcej. Dookoła rozciągają się wsie i małe kolonie osadnicze. Ziemia jest naogół urodzajna—czarnoziem, stąd może powstała nazwa Czerniewiczze. Ludność miejscowa to przeważnie Białorusini. Jest trochę i Polaków, zwłaszcza w koloniach osadniczych.

Cmentarzysko Słowian znajduje się, jak wspomniałem, niedaleko Czerniewicz. Jest to grupa kurhanów albo kopców, dlatego też ludność miejscowa nie nazywa ich inaczej jak „kapy”. Stanowią one niewielkie wzniesienia, ułożone z kamieni i ziemi, o średnicy 2-3 metrów. Niektóre mają kształt prostokątny, ułożenie bowiem kamieni tworzy przeważnie prostokąt. Dopiero warstwice ziemi, nasypanej na podstawę kamienną, nadają grobom kształt małych kopców, coś w rodzaju kopuły.

Ekspedycja naukowa z Wilna prowadziła w 1935 r. prace wykopaliskowe, które dały obfity plon naukowy. Archeologowie rozkopali kilka grobów, znaleźli szkielety ludzkie, szczątki zwierząt domowych i niektóre przedmioty codziennego użytku, które wyraźnie świadczą o tym, że wyżej wspomniane groby stanowią cmentarzysko Słowian, pochodzące prawdopodobnie z IX w.

W jednym kurhanie napotkano na dwa kamienne paleniska. Układ kamieni świadczy, że były to prawdopodobnie ogniska ofiarne, służące celom obrzędowym. Podobne kurhany noszą nazwę „sakralnych”.

W innym znowu kopcu znaleziono urnę z popiołem, a obok niej szczątki kości ludzkich i zwierzęcych. Wszystko wskazuje na to, że trup został spalony, popioł wsypany do urny, a resztki nie dopalonych kości położono obok naczyń, kości zaś zwierzęce należą do barana.

Bogaty plon przyniosło rozkopanie trzeciej mogiły. Na głębokości dwóch metrów leżał szkielet ludzki, głową zwrócony w stronę zachodnią. Na palcu prawej ręki znajdowała się obrączka, na rękach pięć bransolet, na szyi—szklane paciorki, a obok znaleziono siedem dzwoneczków. Obrączka, bransolety i dzwoneczki są wykonane z miedzi.

Wykopaliska czerniewickie przyniosły poważne rezultaty naukowe. Trzeba zaznaczyć, że kurhany nie są rzadkością w naszych stronach—cała Dziśnieńszczyzna jest nimi usiana. Dokładne poznanie ich zawartości może w znacznym stopniu przyczynić się do wyjaśnienia zamierzchłych dziejów naszego kraju.

L. D.

Wieś kresowa a my.

Nasza wieś kresowa od dłuższego już czasu zajmuje coraz więcej miejsca na tle naszych dyskusji szkolnych. Uważam, że jest to objaw bezwzględnie dodatni, świadczy bowiem o naszym zainteresowaniu strzechą rodzinną, środowiskiem, z którego w przeważnej części pochodzimy. Odbicie poglądów na tę kwestię spotkaliśmy w ubiegłym roku szkolnym w „Naszym Głosie“. Był to niejako wstęp do głębszego wypowiedzenia się.

Kwestię tę na nowo podnosi artykuł kol. Sosnowika „Prawda o naszej wsi“, zamieszczony w poprzednim numerze „Naszego Głosu“.

W artykule tym przejawia się ostre wystąpienie przeciwko zakrzepłej jakoby rutynie określeń, przeciwko twierdzeniu, że nędza wsi białoruskiej jest przysłowiowa. Zdaniem autora jest to zbyt mocne określenie, gdyż rzeczywistość mówi co innego. Kol. Sosnowik w szeregu zestawień losu chłopca białoruskiego z pracownikami w innych zawodach uwydatnia względny dobrobyt naszej wsi, która łatwo mogłaby podźwignąć się na wyższy szczebel kultury. Przy tym całkowitą odpowiedzialność za obecny stan kulturalny Wileńszczyzny składa na chłopca, który „zaslepiiony w swoim zgubnym konserwatyźmie“, nie interesuje się spółdzielczością, nie poświęca się kulturalnym rozrywkom jak radio, teatr, gazeta i t. p.

Kol. Sosnowik nie liczy się z tym, że nie można wymagać od człowieka, który zaledwie sylabizuje na książce do nabożeństwa, aby czytał gazety, albo też sprowadzał radio, na które w dodatku pozwolić sobie nie może. Tym bardziej nie może być mowy o spółdzielczym stanowisku chłopca, o jego zainteresowaniu społecznym. Gdyby chłop posiadał nawet w tym kierunku zainteresowania i warunki, to jednak ciemnota jego nie pozwoliłaby na wcielenie tych chęci w czyn. Słwem, na wsi nie ma jednostek, które nadałyby jej nowe formy życia.

Nędza i ciemnota jak toczyły tak toczą nadal wieś, która stale przygniatana lawiną kryzysu nie może dźwignąć się z upadku przynosząc państwu szkody nie tylko materialne, lecz także i moralne. Kol. Sosnowik pisze: „Gdy z wiarą w przyszłość weźmie się lud wiejski do pracy, gdy zaprzestanie odseparowywać się od wszelkiego postępu, posiadzie na pewno dobrobyt“. Na podstawie tych słów śmiało można powiedzieć, że kol. Sosnowik nie zetknął się bliżej z życiem wsi. O separacji wsi nie może być mowy. Wieś wszelkimi siłami stara się dziś przeschęcić na swój grunt wyższe formy życia, ale

akcja ta idzie dotąd błędnymi drogami, nie ma jednostek, które skierowałyby ją na właściwe tory. Nie ma we wsi dzisiejszej chłop, który obojętnie odnosi się do wskazówek i rad, idących z miasta, a pochodzących od fachowców, którzy interesują się wsią. Pomoc miasta dla wsi jest jednak dorywcza i dlatego nie przynosi widocznej korzyści. Pomimo tego w niektórych gałęziach przemysłu i rolnictwa daje się zauważyć stały postęp. Wystarczy przytoczyć rozwój młeczarstwa i sadownictwa (w ostatnich latach założono sporo nowych sadów), aby przekonać się, że postęp na wsi istnieje.

Kol. Sosnowik dzieli ludność wiejską na trzy zasadnicze grupy, których w rzeczywistości nie ma. Podział ten odpowiadałby prawdzie w latach od 1924-27, ale nie w czasach obecnych. Nie ma dziś na wsi chłopów zamożnych, którzy pożyczają pieniądze na „lichwiarski procent“ ani „trzymających (pieniądze) w domu“.

Niezgodne z rzeczywistością jest także powiedzenie, że na wsi nie ma głodu. Czy kol. Sosnowik sądzi, że kilkanaście złotych, zarobionych podczas robót sezonowych, zmienia położenie rodziny, żyjącej w nędzy, w której jest nadmiar rąk do pracy? Poza domem zarobić jest dziś bardzo trudno i dodać trzeba, że nie każda rodzina rozporządza siłą, która potrafi na „stronie“ zarobić. Trudno jest też mówić o higienie mieszkania, w którym mieszka czasem ponad 10 osób, które musi nieraz służyć i za chlew, kiedy gospodarz obawia się, aby owca z jagniętami nie zmarzła, bo nie ma ciepłego chlewu. Wypadki, o których wspominałem, nie są rzadkością, spotykamy je niemal na każdym kroku.

W zakończeniu artykułu kol. Sosnowik poruszył jedną z najbardziej piekących kwestii. Kształcenie synów rolników nie dla miasta, lecz dla wsi. W związku z tym chcę słów parę powiedzieć o doniosłości tej kwestii. O ile mi się zdaje, kol. Sosnowik kwestię tę uważa za łatwą do rozwiązania, podczas gdy nasuwa ona pewne uzasadnione zastrzeżenia.

Za przykład może posłużyć nasze gimnazjum, w którym większość stanowią synowie rolników. Z górą 250 wychowanków ze świadectwami dojrzałości opuściło mury naszego zakładu. Z tej liczby na palcach można policzyć tych, którzy ugrzęźli gdzieś w zapadłej wsi i z zakasanyimi rękawami stanęli do pracy na roli, do niesienia oświaty ciemnym masom, które jej koniecznie potrzebują. Jeszcze mniej jest takich, którzy po skończeniu wyższych uczelni myślą powrócić na wieś. Wielu nawet z odpowiednim wykształceniem powróciło na wieś, ale pożytku większego wsi nie przyniesli. Ludność wsi nawet gorszy się widząc syna jakiegoś tam Tomasza, czy Da-

niły, który z książką w ręku wyleguje się na miedzy śmiejąc się z ciężko pracujących chłopów.

Weźmy inny przykład. Wielu jest z nas nawet takich, którzy wstydzą się tej wsi, wstydzą się zgrzebnej, łatanej koszuli ojca, ciężko pracującego na roli. Rzecz oczywista, że synek ze świadectwem dojrzałości nieswojo później czuje się z widłami w ręku przy rozkopaniu gnojówki, a córka z dojnicą w ręku.

Tymczasem wieś traci materiał. We wsi pozostaje młodzież uboga, która z zazdrością patrzy na kształcących się kolegów, narzeka na swój los, że w pocie musi pracować na ojcowskim zagonie. Co gorsza, młodzież wiejską opanowuje mania błędnego wprowadzenia kultury w życie. Chłopak wiejski uważa za konieczność ubrać się w święto tak, jak elegant miejski. Z tego powodu ojciec sprzedaje czasem ostatnią krowę, aby synowi kupić modny kostium, a córce przynajmniej perkalową sukienkę. Więcej im imponują tandetne materiały fabryczne, niż najlepsze samodiały. Przy takim stanie daje się zaobserwować widoczny upadek domowego przemysłu tkackiego wyrządzając w ten sposób znaczne szkody państwu. Wieś nasza jest w nadzwyczaj trudnym położeniu materialnym, toteż narzeka ciągle, że źle się jej powodzi, że nie ma dopływu gotówki, że ceny artykułów rolniczych w porównaniu z przemysłowymi są niskie, że z trudem koniec z końcem wiąże.

Wszyscy dziś zdajemy sobie sprawę, że stan gospodarczy wsi odgrywa poważną rolę w całokształcie życia gospodarczego w państwie. Dlatego też troska o wieś to jednocześnie troska o lepsze jutro państwa.

Z tego wynika, że wieś o niskiej kulturze gospodarczej musi przyspieszyć swój rozwój stwarzając w ten sposób warunki dla dobrobytu jej mieszkańców. Pierwszym więc niejako problemem, wysuwającym się na czoło, jest walka o uzdrowienie ustroju gospodarczego w zapadłych dzielnicach.

Wielokrotnie spotykałem w gazetach artykuły, traktujące o kwestii robotniczej, agrarnej, rzemieślniczej i wielu innych, w których jednak nie spotkałem sformułowania sposobu skutecznej walki z zacofaniem kulturalnym, walki z kryzysem i nędzą. Czy więc wszystkie recepty zawodzą i są bezskuteczne? — Stanowczo nie. Przyczyny ich niepowodzeń należy szukać gdzie indziej. Wielką wadą jest to, że hasła modne prędko tracą na swej aktualności i są zapomniane.

Znamy chyba wszyscy szumne hasło: „frontem do wsi“. Państwo ze swej strony robi, co leży tylko w jego możliwości: parceluje, komasuje wsie, udziela zapomóg, lecz usiłowania te nie mogą zaradzić

złu. Z pomocą przychodzi także społeczeństwo, które, niestety, ogranicza się tylko do szerzenia idei czytelnictwa, lekcji higieny i wskazań fachowo—rolniczych.

Nie wystarczy wieśniaka białoruskiego nauczyć czytać, trzeba nim kierować dalej i uczyć równocześnie samodzielności. Trzeba go przekonać, że nie jest już zależny od dworu, że jest panem na własnej zagrodzie. Do tej misji w pierwszym rządzie powinniśmy stanąć my, młodzież, którzy jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że możemy się uczyć i pracować dla dobra naszej dzielnicy. Przyznać należy, że jesteśmy w niezbyt sprzyjających warunkach. Może niejeden z nas zamiast chodzić do gimnazjum wolałby skończyć jakąś szkołę zawodową i założyć we wsi rodzinnej warsztat pracy, ale na przeszkodzie stoi brak szkół zawodowych na Kresach. Ojciec woli syna wysłać do gimnazjum, które daje mu pewną nadzieję zobaczenia syna na stanowisku urzędnika, niż do jakiejś tam szkoły zawodowej w Hajnówce, oddalonej o setki kilometrów od jego wsi.

Lecz jak zaznaczyłem na początku, nie dorosliśmy jeszcze do spełnienia tej roli, a więc jest to tylko stawianie szklanych domów na lodzie.

Tyle na razie w odpowiedzi na artykuł „Prawda o naszej wsi“.

J. Bujonek kł. VIII.

Moja wieś wczoraj i dziś.

Życie kulturalne wsi z przed lat dziesięciu i obecnej wykazuje maksymalną różnicę. Złożyło się na to dużo przyczyn. Nie mogę wprost sobie uwierzyć, skoro przedstawię dorobek kulturalny wsi obecnej i dawnej. Mimo że byłem jeszcze dzieckiem wówczas, jednak dobrze zapamiętałem ówczesne życie wsi. Nauka ograniczała się do umiejętności czytania na elementarzu i książce do nabożeństwa, bo jak mówili starzy, po co nauka przyda się chłopu.

Skoro sobie przypomnę owe długie wieczory zimowe i porównam je do dzisiejszych, to jakżeż uderzają one mnie swą oryginalnością. Dawniej dziewczęta zbierały się gdzieś u jednej z nich na t. zw. „papraduchi“. Natenczas wieszano w tym domu lampę na środku izby, a naokoło zastawione pod ścianami ławy zajmowały prządki ze swymi kołowrótkami i pręślnicami. Warczały

kołowroty, snuła się cienka nić, a z nią razem rozmowy dziewcząt. Czasem zaśpiewały jakąś piosenkę, ale najwięcej gawędziły o „wieczorynkach” i o chłopcach. Często przychodziła do nich gromada chłopców z muzyką. Wtedy odbierano od nich kołowroty i przęślnice i chowano je, by móc zatańczyć. A jakie tańce tańczono? Z różnymi figurami, wykrętasami, biegami. Ledwie pamiętam nazwy tych tańców. Oto niektóre z nich: „kadryl”, „alampie”, „napoleonka”, „węgiarka”, „relina”, „karobaczka”, „kochaneczka”, „padeszpan”, a także terazniejsza polka i walc. Nieraz taki wyrostek zatańczył kozaczka. Często bywało tak, że tańczono aż do rana. A jakie figle płałano! Nieraz chłopcy, gdy dziewczęta pójdą jeść, wyrządzali im różne „psikusy”. Napełnili flaszki wodą, lekko korkowali je lnem i przewróciwszy flaszkę dnem do góry umieszczali ją w kądzieli. Skoro właścicielka kądzieli zaczęła ją przędząc skubać i razem wyciągnęła lniany korek, nalało się jej wody pełen fartuch. Dopieroż wybuchały śmiechy i dowcipy!

Młódź, jak młódź, ale starzy czym się zajmowali? Oprócz rozmów gospodarskich—karty i kieliszek były ich zajęciem, bo zaraz, jak się gracze zmęczą, jegomość, właściciel „karciożnej”, spod poły wyciągnie flaszkę samogonu i postawi na stół dla graczy. Czemuż nie może tak zrobić? Wszak zapłacą nie tylko za wódkę, lecz nawet za stół, karty, naftę i t. p. Ale i karty można pominąć i płazem puścić. Często starzy, o zgrozo, zajmowali się polityką komunistyczną i propagowali ją. Całe szczęście, że większość mieszkańców z nieufnością słuchała agitatorów i nie wierzyła ich obietnicom. I to właśnie uratowało mieszkańców od smutnych konsekwencji.

A kobiety? One, jeśli czas na to pozwalał, zbierając się plotkowały i obmawiały wszystkich. Żadna ładniejsza dziewczyna, mająca większe powodzenie, nie uszła ich długich języków.

A teraz? Teraz jest zupełnie inaczej. Przyczynił się do tego w dużej mierze miejscowy ksiądz-proboszcz i urzędnicy państwowi z pobliskiego miasteczka. Ksiądz z ambony prócz swej misji kapłańskiej spełnia też posłannictwo narodowe, wójt zaś gminy przy pomocy innych urzędników zorganizowali młodzież i założyli związki: „Ochotniczej Straży Pożarnej” i „Strzelecki” w celu polonizowania młodzieży. I wtedy właśnie nastąpiła przełomowa chwila w dziejach wioski. „Związek Strzelecki” pozostał jakoś na boku, natomiast „Straż Ogniowa” rozpoczęła energiczną działalność.

Znalazł się taki człowiek, który z zadziwiającą sprawnością umiał nią pokierować, mimo że skończył tylko trzy oddziały szkoły powszechnej. Znalazła się także grupka amatorów sceny. „Straż

Ogniowa“ posiadała już wówczas własną świetlicę ze sceną. Jakoś udawały się przedstawienia, gdyż znaleźli się nawet dość uzdolnieni, jak na stosunki wiejskie, artyści. I odtąd normalnie co roku Straż daje cztery przedstawienia. Pomaga jej w tym „Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej“, zorganizowane przez księdza. Praca młodzieży znalazła uznanie i poparcie ze strony starszych. Po rocznych wysiłkach Straż kupiła za zarobione z przedstawień pieniądze radio i zaprenumerowała 8 gazet do świetlicy. Teraz każdy w świetlicy może przyjemnie spędzić czas. Nawet starzy zapomnieli o swych dawnych nałogach. Słuchają teraz radia, a młodzież czyta gazety i opowiada ich treść starszej generacji. Starych najwięcej interesuje polityka i sprawy gospodarcze. Doprawdy, ciekawe jest nieraz posłuchać dyskusji wieśniaków na temat np. wojny włosko—abisyńskiej. Z zainteresowaniem słuchają również muzyki i śpiewów.

W drugim roku swej działalności Straż urządziła bibliotekę w świetlicy. Posiada ona około 100 tomów i jak na stosunki wiejskie jest zupełnie wystarczająca. Najbardziej poczytnym autorem jest Sienkiewicz. Młodzież wprost przepada za nim. W roku bieżącym „Związek Strzelecki“ uchwalił budowę domu ludowego i kupno piorunochronu, gdyż w okolicy często zdarzają się pożary od piorunów.

Ale nie tylko kulturalnie, lecz także pod względem technicznym jest Straż wysoko postawiona. Mogłem przekonać się, z jaką sprawnością i prędkością zgasili w sąsiedniej wsi pożar. Dostali za to pochwałę nie tylko od wójta, lecz także od naczelnego kierownika „Straży Ogniowej“ w pow. brasławskim. Jest to nadzwyczaj wytrwała i pracowita młodzież. Nieraz mogłem ich zobaczyć w nocy na éwicznieniach, bo w dzień pracują na roli. Podziwiałem ich zapał do pracy i wytrwałość, połączoną z sumiennością, z jaką wykonywali swe obowiązki. Ale, niestety, w całej gminie jest tylko jedna taka wieś. Oby ci pracowici strażacy znaleźli licznych naśladowców.

J. Ryndzionek kł. VII.

Zjazd wychowanków gimnazjum dziśniejskiego. (artykuł dyskusyjny).

Czytając w prasie o zjazdach koleżeńskich wychowanków gimnazjum (np. w Chyrowie, a ostatnio w Puławach) oraz po porozumieniu się z niektórymi kolegami z Koła Dziśnian ośmieliłem się pierwszy na stronicach „Naszego Głosu“ przemówić w sprawie zjazdu wychowanków naszego gimnazjum.

Okres życia ludzkiego, spędzony na ławie szkolnej, jest okresem bezsprzecznie najmilszym, który się wspomina z pewną tęsknotą i najpożyteczniejszym, jeżeli przy normalnych warunkach i przy dobrej woli starało się osiągnąć maximum dla rozwoju swego ducha i ciała.

Na ławie szkolnej człowiek z dziecka stając się dojrzałym uczy się poznawać nowe światy w swojej jaźni. Pod ożywczym wpływem wiedzy porusza struny młodzieńczego idealizmu, który go popycha do czynu; na ławie szkolnej po raz pierwszy rozpoczyna walczyć z nagą a najczęściej bolesną rzeczywistością życia. Te różnorakie przejścia w murach szkolnych łączą ludzi często na całe życie. Powstaje więc duchowa nierozzerwalna i pełna uroku. Po opuszczeniu gimnazjum gromada koleżeńska zostaje rozproszona po świecie. Zdawałoby się, że w ciągłej pogoni za swoim celem, za stanowiskiem, w ciągłym trudzie o byt ulegniemy całkowitemu rozproszeniu. Na szczęście więc, choć słaba, jednak pozostaje. Doświadczenie codzienne wykazuje, jak bardzo ciekawimy się i lubimy słuchać o losie „naszych“. Nieraz spotykając na ulicach Wilna „swoich“ z ławy szkolnej czuję, że ci z tego obcego tłumu dla mnie są bliscy, złączeni przeżyciami z tej samej szkoły.

Bynajmniej nie zerwą naszej więzi ani różne stanowiska w życiu, ani czapka studencka tego lub innego wydziału, albo tej lub innej szkoły, ani powodzenie lub niepowodzenie w życiu któregoś z naszej gromady. Stanowimy jedność i tej jedności nam zniszczyć nie wolno, w jedności bowiem jest siła i znaczenie! Jak wielkością i bohaterstwem życiowym poszczególnych kolegów szczyli się cała nasza gromada, tak małodusznością darmozjadów i ich bezradnością smuci się.

Dla pierwszej racji, t. j. odnowienia i wzmocnienia węzła, powstałego w murach szkolnych, potrzebny jest zjazd wszystkich wychowanków naszego gimnazjum w Dziśnie.

Niemożliwe jest, iżby ten idealizm, obudzony i rozwinięty w szkole, miał zaginać po jej opuszczeniu! Niemożliwe jest, aby na miejsce gorącej i ofiarnej przyjaźni koleżeńskiej miała przyjść całkowita obojętność.

A nasza gromada koleżeńska jest naprawdę wielka, bo wliczam tu nie tylko 12 matur ostatnich, ale i tych, co byli z nami razem w gimnazjum przez kilka lat. Z „naszych“ wielu już jest na różnych stanowiskach w społeczeństwie. Gromada nasza na Kresach wschodnich ma swoje postulaty i zadania. Zjazd ogólny ma właśnie na celu wyraźnie określić te postulaty młodzieży, wychowanej w atmosferze Kresów wschodnich.

Zjazd ogólny pokaże nam, kim i czym jesteśmy, ilu nas jest i co możemy zrobić dla naszych ubogich, ale tak nam drogich Kresów. Może po wspólnym spotkaniu się obejmując potem różne stanowiska więcej będziemy mieli odwagi iść pod strzechę kresową i pracować wśród swoich i dla swoich. Niestety, o tej obietnicy pracy wśród swoich wielu z nas zapomniało po wyjściu z murów szkoły.

Zjazd koleżeński mógłby się odbyć w roku 1940. Koledzy, z którymi w tej sprawie rozmawiałem, wysuwają właśnie tę datę, bo to niby lepiej przygotować się zawczasu, powoli, ale gruntownie. Zdaje mi się, że w r. 1938 nasze gimnazjum pożegna kolegów ze starą maturą, która po reformie pójdzie do lamusa XX-go wieku na zasłużony odpoczynek. Przyjdą nowe szeregi naszych kolegów o innej strukturze ducha, wychowanych w liceach i myślących inaczej, niż my.

O projektowanym zjeździe taki sąd wydaje w jednym z listów do mnie nasz były Dyrektor Dr. Staniewski: „Więc doprawdy trudno jest ustalić, że zbieramy się właśnie w r. 1940. Musiałby już teraz powstać Komitet w Wilnie, który by zajął się rejestracją Wychowanków i opracował na szerszej podstawie program Zjazdu, a właściwie Sejmu P.I. - Wschodniej Połaci Wileńszczyzny. Z radością witam projekt całego przedsięwzięcia. Sądzę, że główny punkt programu dotyczyłby roztoczenia opieki nad szkolnictwem i oświatą w terenach naddziwińskich. Nie potrzebujemy łądzić się, że rzecz pójdzie łatwo. Ale trzeba mierzyć siły na zamiary. Tak... na zamiary—według Adama Mickiewicza, Syna Ziemi Północno-Wschodnich“...

Zjazd odbyłby się w Dziśnie latem. Zorganizowaniem musi zająć się specjalny Komitet, powołany z ramienia Koła Wychowanków Dziśnian na U. S. B. i z ramienia Samorządu gimnazjum „Współpraca“.

Redakcja „Naszego Głosu“ musi pozwolić na stronicach swego pisma na dyskusję w związku ze zjazdem i ma stać się dla wszystkich wychowanków informatorem, a przede wszystkim nawiązać kontakt z Kołem Dziśnian na U. S. B. Komitet Redakcyjny w porozumieniu z Komitetem zjazdu w odpowiedniej chwili powinien zorganizować świetną reklamę dla powiadomienia wszystkich (afisze, druki i t. p.).

Spodziewam się, że zjazd koleżeński znajdzie uznanie i poparcie u p. Profesorów na czele z P. Dyrektorem Dr. Mężykiem, u naszych władz administracyjnych i w całym społeczeństwie m. Dzisy. Trudno powiedzieć teraz, jaki będzie program zjazdu, ale według

tego, co się czytało o innych zjazdach podobnych, można rzucić pewne kontury. A więc uroczyste nabożeństwo na intencję zjazdu, potem modły żałobne za zmarłych kolegów, obrady przynajmniej jednodniowe ze specjalnym referatem na temat szkolnictwa i naszego stosunku do Kresów wschodnich albo o przeszłości Dżisny. Tematami i prelegentami musiałby zająć się Komitet zjazdu. Obrady zakończyłyby: rezolucja, wspólna fotografia uczestników i herbatka koleżeńska. Uważam, że obok funduszu, jaki musi zdobyć sobie Komitet, mogliby wszyscy uczestnicy zjazdu dobrowolnie opodatkować się, zwłaszcza gdyby chodziło o księgę pamiątkową.

Wiem, że trudności będą, jak przy każdym poczynaniu ludzkim, tym bardziej skoro chodzi o akcję zbiorową, ale dobra wola, zapal i entuzjazm, połączony z wytrwałością młodzieńczą, wszystko zwyciężą! Przykro byłoby nam, wychowankom dzisiejszego gimnazjum, gdybyśmy po tylu latach rozłąki nie potrafili „zestrzelić myśli i serca w jedno ognisko“, choć na parę dni w czerwonych murach naszej dawnej szkoły.

Uważam, że młodość nasza z chwilą opuszczenia szkoły nie zginęła; chociaż ma na sobie głębokie rysy życia, nie stała się zgrzybiałą i przyziemną.

Nie dajmy się, aby codzienne, szare życie miało zupełnie nas pochłonąć, pozwólmy odnowić choć na pewien czas tak drogie każdemu wspomnienia z ławy szkolnej dla zdobycia wzajemnej ochoty do walki o lepsze jutro dla siebie i dla innych w Polsce Odrodzonej!

W sprawie zorganizowania zjazdu czekam innych głosów na stronicach naszego pisma, a zwłaszcza ze strony kolegów z K.W.D. na U. S. B., czy z prowincji, czy też z Redakcji „Naszego Głosu“, jak i S. U. „Współpraca“.

Piotr Pupin, student U. S. B.

Don Kichot.

Poświęcam R. K.

*Czekałem na cię długo na pustych rozstajach,
Wśród nocy niespokojnych, w szalonej tęsknocie—
Wkładałem co dzień na się zbroję samuraja,
By szukać twoich śladów—mej krynicy pociech,*

*Na smutnej mię spotkałaś, mazo moja, drodze,
Bo stałem się wędrownym, błędnym Don Kichotem,
Z mym sercem-Rosynantem pośród życia brodzę
I zabić chcę nareszcie rycerza—tęsknotę.*

*I wszędzie mię choroba mojej duszy wlecze
Za szczęściem nieziszczalnym, biegnącym przede mną;
A ty mię dziś przebiłaś przekonania mieczem,
Że walka z własną duszą jest walką daremną.*

D. M. Kasaty kl. VII.

O zmierzchu.

Rubinowa tarcza zachodzącego słońca oblewała purpurą samotny, spróchniały krzyż, pochylony nad starą wstęgą leniwie wijącą się wzdłuż wzgórze drogi. Dziwny był to widok. Na całej przestrzeni, jak okiem sięgnąć, nigdzie żywej duszy, nigdzie krzaczka, tylko jeden jedyny krzyż rozpościerał swe martwe ramiona ponad tą głuchą okolicą. Kilka pęków róż, dziko rosnących pod krzyżem, zamarło w bezruchu, dysząc balsamiczną wonią, która na kształt zamarzłej bryły lodu nieruchomo zawisła nad krzyżem. Najlżejszy nawet wiatr nie mącił sennej ciszy.

Zmierzch zwolna spływał na ziemię. Ostatnie promienie słońca lizaly martwą, szklącą się w dali poza krzyżem tafłę jeziora. Woda przybierała barwę rdzawego żelaza, to znowu iskrzyła się srebrzystą wstęgą, od której bił oślepiający blask na wszystkie strony. W końcu stała się ciemną, do bryły ołowiu podobną masą... Słońce zapadło... Skłębione fale mgły, pomieszane z wypęłzającą leniwie ze wszech stron posępną szarością, zalewały równinę..... Była wielka cisza. Księżyc wychylił swe blade oko i lękliwie spojrział w dół na równinę oświetlającą martwą toń jeziora.

Zerwał się lekki wiatr i muskając zlekka przybrzeżne szuwalry pieścił się jak dziecko, tonące z rozkoszą w miękkiej, puchowej poduszce.

Srebrzyste wstęgi fal kołysały się majestatycznie, cicho, bez plusku. Po drugiej stronie jeziora, w miejscu, gdzie wpadała mała rzeczka, panowała głucha cisza. Nawet fale jakby skostniałe pozos-

tawały w bezruchu, jak brzozy świeżo zoranej ziemi. Brzegi, obrosłe wysoką olszyną, rzucały cień na pomarszczone oblicze rzeki.

.... Czas płynął... O północy na prawym brzegu rzeki pojawiła się jakaś zjawą. Czarno ubrana, z przykryciem na głowie, robiła wrażenie nimfy z bajki, która o północy wychyla się z oślizgłych fal jeziora i wciąga ofiary do kryształowego zamku podwodnego.

Co chwila zwracała się w stronę zakrętu rzeki jakby oczekując ofiary, to znowu patrzyła na cicho sunący księżyc. Ponura twarz księżycy sunęła coraz wyżej, wyżej. W chwili, kiedy trupie blaski poczęły przedzierać się przez zwarte korony olch całując rozmarzoną, pluskiem gwarzącą rzekę, nimfa jak gdyby skamieniała wyczekując ciągle ofiary, pochyliła się nad rzeką, grającą jakąś pieśń tęskną, gryzącą serce bólem, i białą chustką wywijając nad głową.

Nurtem rzeki płynęła mała łódź, ponoszona prądem i energicznie popychana wiosłem. Niebawem łódź przybiła do brzegu. Zwinny młodzieniec wyskoczył, łódź sznurkiem umocował do olchy i zbliżył się do nimfy. Stała ze spuszczoną głową trzymając w ręku białą, pomiętą chustkę. Wiatr głucho uderzał o mur trzciny i tataraków przybrzeżnych, fale szemrały w dole, a w górze lodowate oko księżycy chłodno spoglądało na mroki ziemskie.

— Halino, — wyszeptał przybyły.

Drgnęła, jakby zbudzona z letargu. Wargi poruszyła nerwowo, słowa jednak zamarły w piersi wypowiadając posłuszeństwo woli.

Bez słowa siadła do łodzi i zapatrzona w dal przez siebie, była nawpół przytomna, nie zdająca sprawy, gdzie się znajduje. Oprzytomniała, gdy zimna fala powietrza owionęła twarz, pogrążoną w dziwnej jakiejś zadumie. Byli na jeziorze.

.... Bór zamilkł..... Cisza zawieszona w powietrzu zamarła w ciemnym wachlarzu nocy.... I płynęła minuta za minutą tej sennej ciszy, jak płynie fala za falą.

Dziwna jakaś tęsknota zalała serce Haliny. Wspomnienie niedawnej przeszłości stanęło w upiornej postaci przesuając się na kształt taśmy filmowej przed wzburzonym umysłem. Czuła, że nie ma nic bardziej bolesnego, niż to wspomnienie chwil minionego szczęścia. Chłopskie jej serce czuło wymownie, że szczęście jest tylko marą, co pierzcha za ladem szelestem. Widziała świat na obrazku, lecz nie żyła światem. Nieszczęsna miłość, o jakże szukała tej prawdziwej, wielkiej miłości — aż ją znalazła.

Widziała przed oczyma duszy ów wieczór poznania, Parna izba

wiejska. Mnóstwo par, wybijających takt poleczki wirowało w zawrotnej szybkości.

W przyległym pokoju widziała siebie, siedzącą z nim — z ukochanym Janem. Grał na gitarze, wpatrzony w jej oczy...

Piosenka tak cicha, a tak przeszywająca bólem jej duszę.

A potem? — Co było potem, sama by tego nie określiła. Jakiś niewidzialny duch skuł ich serca łańcuchem jakiejś przedziwnej mocy. Drwiono z niej we wsi nazywając suką panicza za to, że ośmieliła się pokochać Jana. Obca jest na Białorusi miłość, więc jakże ona biedna sierota mogła sprzeciwić się woli opiekunów, którzy wychowali ją dla swego syna, Wasyla, słynnego we wsi z rozboju i pijaństwa.

A ludzie? — Ludzie dziwili się z jej pogardy dla tak świętej partii. Wasyl był przecież bogaczem, a ona sierotą, przygarniętą z litości. I byłaby może szczęśliwa, gdyby nie złość ludzka, która kazała jej opuścić wieś rodzinną, krewnych i znajomych może już na zawsze. Lecz była z nim — z Janem.

Dołączyli do bżegu, gdy nagle z nad lasu wzbil się jakiś urwany skowyt. Drgnęła. Przylgnęła strwożona do młodziana, który zaprzestał wiosłować. Cichy, płaczący jęk zabrzmiał po raz drugi. Podobna do zawodzenia płaczki na pogrzebie popłynęła nad lasem dzika, namiętna pieśń. Był to nocny król lasów — wilk. Pieśń brzmiała goryczą, bólem, tchnęła powiewem śmierci, krew mroziła w żyłach. Skamieniały las słuchał straszliwych tonów, wzbijających się coraz wyżej... wyżej.

Jeszcze parę akordów i pieśń, urwana w najwyższym tonie, milknie.

Grobowo cisza zaległa przestworza. Zrywa się po raz drugi, lecz teraz slychać zew rozpaczy, buchający krwią i ogniem, tym, co zostało na dnie duszy samotnika.

Pieśń zamarła. Błade oko księżycy spoglądało drwiąco w dół na szklaną równinę. Dziwna pieśń, kto ją raz posłyszysz, nie zapomni do śmierci. Dziwne przecucie targnęło sercem Haliny. Osłabiona wrażeniem chwiała się bezwładnie na ramieniu młodzieńca.

*

*

*

Zadyszany opierał się na lufie dubeltówki ponuro patrząc na toń jeziora. Ocierał pot z rzęsiście zroszonego czoła. Twarz, okoloną czarnym zarostem z małymi, ciskającymi ognie, oczkami o rysach zastygłych, wykrzywiła się w diabelskim uśmiechu.

— Ha, zdążyłem na czas — wycharczał.

A teraz porachunek. Ponuro błysnął oczyma.

Kosmata, nerwowo zaciśnięta pięść pogroziła w stronę jeziora.

Dobrze zwąchałem, że naprzeciw krzyża wylądują... cha—cha

Chłystek jej się wyśnił, elegancik — a ja zbój.

Nie, panienczko, lepszy ja zuch od tego młokosa, co ojcowiznę na jakieś tam nauki roztrwonił i durniem został, co kawałka chleba nie ma.

Poczekajże póki cię białe rączki panicza upieszczą—cha,—cha.

Śmiech ugrzązł w gardle. Chwilę czekał skamieniały. Nagle podniósł broń do oka. Huk straszliwy rozdarł powietrze.

Urwany krzyk uniósł się z nad jeziora.

Nad brzegiem stał Wasyl złośliwie się uśmiechając.

J. Bujonek kl. VIII.

Dwa pokolenia.

Jest lekcja języka polskiego, którą chcielibyśmy jak najbardziej przedłużyć.

Dwa pokolenia. Taki tytuł nadaliśmy dyskusji, która rozwinęła się po przeczytaniu powieści E. Orzeszkowej „Nad Niemnem“. Oto stają naprzeciwko siebie Benedykt i Witold Korczyńscy. Ojciec i syn.

Pierwszy, człowiek dojrzały, ma za sobą młodość, pełną ideałów, które z biegiem czasu utracił i zapomniał tak dalece, że nie może zrozumieć idealnych porywów swego syna. Nieporozumienia te są powodem ostrych starć pomiędzy ojcem a synem.

I oto stanęło przed nami pytanie: jak mógł ojciec tak zapomnieć i tak bardzo nie rozumieć syna?

Jakże bolesne jest dla nas uczucie, że i nasi rodzice nie rozumieją nas zupełnie. Dlaczego? Na to dręczące pytanie szukaliśmy odpowiedzi. Znaleźliśmy ją, ale nie chcieliśmy jej przyjąć: różnica wieku.—Ależ oni byli kiedyś, nie tak dawno zresztą, młodymi, a pomimo to nie rozumieją nas.

— Za ich młodością zamknęła się trama—niepowrotnie. Nie mogą nawet odwrócić głowy i spojrzeć tam, gdzie nie wrócą nigdy, bo trzyma ich jakaś siła olbrzymia i niepojęta. Siłą tą są kamienie

na drodze życia, troski materialne, które okradają niejako ludzi z ich wartości moralnych.

To wszystko mówi klasa, a jeszcze:

— Dlaczego starsi chwalą dawne czasy, podczas gdy my cieszymy się z obecnych?

— My jesteśmy młodzi, nas życie nie zraziło, widzimy wszystko w jasnych barwach i świat wydaje nam się lepszy. Oni są już sterani latami, życie i świat sprawiały im z biegiem czasu coraz więcej zawodów. Dlatego taka różnica w zapatrywaniach. Więc zupełnie jasne, że do porozumienia pomiędzy rodzicami i dziećmi dojść nie może.

— Tak? A „Przyjaźń“ Dąbrowskiej? Autorka opisuje taką szczerą, piękną przyjaźń ojca z synem.

— Ależ to jest wyjątek. Czyż artykuł kol. Chwoszczyńskiej („N. Gł.“ Nr. 3. r. 1935) nie rzuca nam światła na sytuację? W nim też czuć tęsknotę za porozumieniem. Marzyła ona o tej chwili, gdy matka odpowie jej na każde pytanie z taką szczerością, jak ojciec Karolkowi w opowiadaniu Dąbrowskiej. I nie tylko ta dziewczynka odczuwa brak szczerości, ale brak jej nam wszystkim — dużym dzieciom. Szczęściem dla każdego, a cudem dla wszystkich byłoby takie wzajemne porozumienie się. I cud ten pokazała nam Dąbrowska.

Ostatecznie zapadł wniosek, że do porozumienia dwóch pokoleń z łatwością dojść nie może. Porozumienie byłoby w każdym razie objawem niezwykłym.

Wtem od strony katedry padają słowa:

— Dwa pokolenia — rodzice i dzieci. A nauczyciele i uczniowie? Czy między nimi może dojść do całkowitego zrozumienia się?

Jak błysk — wspomnienie: „Matura“ Fodora.

— Aby było porozumienie, musi nastąpić gruntowne poznanie. To nie nastąpi, bo uczeń się maskuje, uczeń nie odkryje swoich tajemnic przed wychowawcą, nie da się poznać, nie da sobie zerwać maski ani wydrzeć tajemnicy.

„To trudno, uczeń musi kłamać, musi się bronić“ — mówi we wspomnianej sztuce Katarzyna Seidl do dyrektora szkoły.

Jednym słowem uczeń nie chce zbliżenia.

Więc jak osiągnąć porozumienie, aby ułatwić i umilić sobie pracę? Klasa dzieli się na dwa nieprzejednane obozy:

1) Tak. Nauczyciel pragnie tego, rozumie ucznia, potrafi z każdego słowa odtworzyć szerokie perspektywy.

2) Nie. Co to, to nie. Uczeń nie chce i nie da się poznać. Nie mogliśmy ostatecznie pogodzić się w tej kwestii.

Co sądzą inni?

R. Jawiczówna kl. IV.

Legendy Kresowe.

Legenda o lucyperze.

(Wieś Błozniki, gm. jaźnieńska, pow. dziśnieński).

W bardzo dawnych czasach chodził po świecie lucyper i zwałbiał ludzi do siebie. Był on bardzo chytry i podstępny, tak że mógłby wkrótce zgubić wszystkich ludzi, lecz Bóg ulitował się nad nimi i posłał im Chrystusa, aby ocalił ich z mocy szatana. Zobaczył to lucyper i postarał się o to, że Chrystus został ukrzyżowany. Lucyper myślał, że sprawa przyjmie teraz inny obrót: ludzie widząc ukrzyżowanego Jezusa nie uwierzą w Jego posłannictwo i wyrzekną się Boga. Stało się jednak inaczej. „Chrystos uwaskros i ludzi paczali ćwiorda wieryć u Boha“ (słowa te są prawie identycznie zachowane w kilkakrotnie słyszanej przeze mnie legendzie).

Jak tylko zaś Chrystus zmartwychwstał, lucyper, któremu zostały nałożone ciężkie żelazne okowy, wpadł w bezdenną przepaść. Okowy te gryzie on z wielką wściekłością aż po dzień dzisiejszy. Rokrocznie ze zbliżaniem się dnia Wielkiejnocy kajdany stają się cieńsze. Gdy zaśpiewają w świątyniach „Chrystos uwaskros“, okowy stają się na powrót grube, i lucyper zaczyna swą pracę od początku.

Widzimy, że część legendy zgodna jest z nauką chrześcijańską. Los lucypera jest już oczywiście wytworem fantazji ludu.

J. Babicz kl. VII.

Mogiła wiedźmy.

(Legenda z pow. brastawskiego).

W bardzo dawnych czasach ziemią brastawską władał groźny wojewoda Ściboj. Był to mąż srogi i krwiożerczy. Znęcał się nad swoją służbą w sposób okrutny, najmniejsze przewinienia karał śmiercią lub strasznymi okrucieństwami. Co roku objeżdżał swe ziemie i badał wieśniaków, czy nie widzieli kobiety z kruczymi włosami. Całej swej służbie nakazywał szukać takiej kobiety. Lecz poszukiwania były bezskuteczne. Po takim poszukiwaniu powracał do swej siedziby jeszcze pochmurniejszy, jeszcze gwałtowniejszy i bardziej okrutny dla swych poddanych.

Historia jego życia była niemniej dziwna od jego charakteru. Za młodu jeździł gdzieś hen aż za morza i całe lata tam spę-

dzał. Powracał nagle i tak samo niespodzianie znikał. Pewnego razu wrócił z jakąś młodą dziewczyną, z którą zamieszkał na stałe w swej siedzibie. Nie rozumiała ona mowy tutejszej i miała wygląd, jak mówiono, „zahraniczny“ albo „nietutejszy“. Była bardzo piękna. Jej krucze włosy lśniły i mieniły się, jej oczy tchnęły niezwykłą siłą i gdy na kimś spoczęły, badały przenikliwie i budziły lęk. Ten, na kim spoczęły jej oczy, był urzeczony jej wzrokiem i mimo strachu nie mógł ruszyć się z miejsca. Musiał patrzeć niewolniczo w te oczy i doznawać jakichś strasznych rzeczy, aż ona nie odwróci wzroku i nie odejdzie. Takie spotkanie z uroczną kobietą każdy musiał odchorować, a często też z choroby nie wstał. Toteż ludzie się jej obawiali, z panicznym strachem znikali z jej drogi.

A ona ciągle o zmierzchu wychodziła na przechadzkę, lubiła bowiem bardzo zachód słońca i przyrodę, przygotowującą się do snu. Chodziła zazwyczaj smutna, zapatrzona w dal. Często z jakimś uporem badała wzrokiem jakiś przedmiot i tak wpatrzona cała się zmieniała i na tle wieczoru wyglądała niby jakaś czarownica. Każdego dnia obierała sobie inną drogę, zapuszczała się często do lasu. Lud był wystraszony. O zmierzchu szczelnie zamykano drzwi i okna, i żaden śmiałek nie odważył się wyjść z chałupy. Jedyne wojewoda jej mąż, nie obawiał się jej, lecz władzy nad nią nie miał. Za każdą jej wycieczkę katował i męczył ją, a w napadzie wściekłości groził jej nawet śmiercią. Nazywał ją wiedźmą, gdyż poddani tłumnie zanosili doń skargi na jego żonę. Przypisywali jej nieurodzaj na polach, brak deszczu, to znowu pogody.

A ona wszystko to znosiła, była ciągle taka sama, nigdy się nie śmiała i nie płakała. Żadne wybryki okrutnego męża nie mogły zmienić jej usposobienia i jej przyzwyczajień. Wycieczek swych nie zaniechała mimo straży, które wystawiał wojewoda przy jej drzwiach. Straż ciągle musiał zmieniać, ponieważ jej wzrok zmuszał wartownika do panicznej ucieczki.

Pewnego dnia na straży stanął 20-letni młodzieniec, syn biednego zduna. Nie znał on strachu, dlatego odebrał go wojewoda siłą od rodziców i przyrzekł wielką nagrodę, o ile potrafi znieść spojrzenie jego żony i nie wypuści jej na przechadzkę. Zapadł zmierzch, w pałacu wojewody zapanowała złowroga cisza, i tylko w komnacie żony jego rozlegały się lekkie kroki. Wtem klamka się poruszyła i drzwi się szybko otworzyły. Na progu stanęła kruczowłosa kobieta i utopiła swój władczy wzrok w młodzieńcu. On na nią nie patrzył, lecz czuł jej wzrok, widział jej białe, długie dłonie, które gniotły nerwowo chustkę. I tak stali bez słowa. Wkrótce on podniósł na

nią oczy i utonął z niezwykłą błogością w jej żrenicach. Cofnęła się do komnaty i lekkim ruchem ręki przywołała go do siebie. Była olśniona spokojem młodzieńca i jego pięknnością. On zaś wszedł bez trwogi i zachwyconym wzrokiem obejmował jej postać. Tej nocy żona wojewody nie wyszła z pałacu.

Tak minęło kilka dni. Naokoło się uciszyło. Ludzie przestali narzekać na czary. Właśnie ta raptowna cisza nasunęła wojewodzie podejrzenia. Postanowił zbadać, w jaki sposób młodzieniec nie pozwala jej wyjść z komnaty. Zaczął się w sąsiednim pokoiku, skąd widział młodzieńca, stojącego na straży z twarzą wesołą, płonąca niby jakimś cichym szczęściem. Podejrzenia wojewody coraz bardziej się umacniały i już zaczął węszyć krew i niecierpliwie czekał na okazję. Wtem drzwi się otworzyły, kobieta wciągnęła młodzieńca do komnaty i przekręciła klucz. Wkrótce rozległ się przytłumiony śmiech i wesołe słowa młodzieńca. Wojewoda targnął drzwi, lecz bez skutku. Przywołał służbę i wspólnie wyrwali drzwi, lecz cóż? Komnata była pusta, okno otwarte. Uciekli! W pogoń ruszać! — krzyczał wojewoda i szalał w pałacu, żądny zemsty i mordu. Pogoń nie wracała. Wojewoda sam wyjechał. Przybył do lasu i w głębi ujrzał swych ludzi bez czucia, niby zamarłych od widoku jakichś okropnych rzeczy. Poszukiwania nie dały rezultatu. Zbiegowie znikli, jak kamień wrzucony do wody.

Od tego czasu wojewoda co roku jeździł i poszukiwał zaginionych. Trzeciego roku po ucieczce wybrał się oszalały z rozpaczy Ściboj znowu na poszukiwania. Błąkał się kilka dni po lasach i moczarach, aż czwartego dnia stracił poczucie kierunku. Był mrok i gęsty las. Przygotowywał się do noclegu, gdy nagle usłyszał rozmowę i śmiech mężczyzny i kobiety. Wskoczył z za drzew, ujrzał chatkę i dwoje młodych. Drżał z radości, że zemsty dokona, że poczuje krew. Rzucił się błyskawicznie na młodzieńca i utopił mu miecz w piersi. Błyskawicznie wyciągnął okrwawione narzędzie mordu, skoczył do swej żony z krzykiem — „wiedzmo, przyszedł twój koniec! nie będziesz mnie więcej dręczyła“ — i poderznął jej gardło. Padła martwa. Rznął jej ciało na kawałki i grzebał w ziemi. I tak pracował do rana. Grób usypał wielki i rzuciwszy nań ciało młodzieńca wrócił do pałacu.

Po kilku dniach odnaleźli ludzie trup młodzieńca i grób żony wojewody. Zaczęły krążyć wieści, że żona wojewody była rzeczywiście wiedźmą i że zabiwszy kochanka swego zniknęła w ziemi. Lud ciągle wierzy niezachwianie, że przy grobie co roku w nocy słychać śmiech młodych kochanków i ryk oszalałego wojewody.

L. Cytowicz kl. VIII.

Legenda o błotniku.

(Wieś Borodziejewice, gm. Jody, pow. brasławski).

Od rodziców i sąsiadów słyszałem kilkakrotnie legendę o pochodzeniu błota, które należy częściowo do naszej wsi, częściowo zaś do okolicznych wiosek i folwarków.

Niegdyś na miejscu istniejącego obecnie błota było wielkie jezioro. Brzegi tego jeziora były zarośnięte szuwarami, w których dużo było dzikiego zwierza. Po środku jeziora znajdowała się wyspa, bogata w florę i faunę i słynna na całą okolicę z powodu widziadeł, które ukazywały się w nocy.

Działy się tam dziwne rzeczy: grzmoty, ryki zwierząt, jęki ludzkie i t. p. Stąd powstała pogłoska, że wyspę tę zamieszkuje jakaś zła siła.

Miała to być stara czarownica, zwana starą Jahą, wraz ze swym małym synkiem. Zjawiała się ona tajemniczo po wsiach przybierając rozmaite postaci. Powszechnie była ona znana i lubiana za swe dobrodziejstwa, jakimi darzyła mieszkańców okolicy. Czyniła ona cuda, przynosiła leki, dawała przestrogi, uczyła wiejskie gospodynie czarów np., jak odbierać mleko od krów sąsiada i t. p.

O synu jej opowiadano niestworzone rzeczy, że był uosobieniem wszelkiego zła, jakie mogło istnieć na ziemi. Był rozbójnikiem, napadał na ludzi po lasach i drogach. Gdzie tylko się zjawił, pozostawiał zgliszcza. Jednak przyszedł i na niego kres. Pewnego razu o późnej godzinie powracał na łódce do domu. Akurat w tym czasie powstała burza i wiatr przewrócił łódkę, zaś on sam został porwany przez fale na dno jeziora.

Nazajutrz czarownica dowiedziała się o zatonięciu swego syna i z rozpaczny wpadła w taką złość, że postanowiła rzucić klątwę na to jezioro. Klątwę tę urzeczywistniła w ten sposób, że wrzuciła szcztokę do jeziora, które natychmiast się zapadło na wieki, a na jego miejsce powstało błoto. Obecnie to błoto służy jako pastwisko i jest zarosłe lasem.

Było to parę lat temu. Pastusi, pasący bydło na błocie w pobliżu wyspy, która się dotychczas zachowała, odnaleźli szczątki łodzi. Odkrycie to poruszyło całą okolicę. Lud obecnie wierzy, że naprawdę było tu niegdyś jezioro i że władczynią jego była stara Jaha.

K. Awlas kl. VII.

Opowieść mojej Mamusi.

Ktokolwiek będzie w nowogródzkich stronach, niech zwróci uwagę na to, co tutaj opiszę.

W powiecie nieświeskim, rodzinnych stronach mojej Matki, leży nieduże, ale ładne miasteczko Mir, a przy nim wspaniały starodawny zamek. Z daleka już widać wysokie wierzchołki wież, błyszczące tafle jezior i resztki otaczających zamek wałów. Obecnie zamek ten należy do ks. Światopółk-Mirskich, przedtem zaś należał do ks. Radziwiłłów. Długie już wieki stoi stary zamek. Stoi i dzisiaj jeszcze piękny, ogromny, ale już nie groźny i zapomniany. Lecz gdyby mury mogły mówić, to dużo, dużo ciekawych rzeczy opowiedziałyby. Opowiedziałyby o świetnych turniejach rycerstwa, o pięknych damach, nagradzających zwycięskich i wiernych rycerzy swoimi szarfami i wstążkami; opowiedziałyby o krwawych, ponurych dramatach, o jękach i okropnej śmierci pogrzebanych za życia w jego strasznych lochach podziemnych. Opowiedziałyby i o nowszych czasach powstania r. 1863, gdy w niezliczonych lochach zamku chowano amunicję powstańców, a znanymi jedynie kilku osobom drogami podziemnymi prowadzono ludzi i dostarczono broni powstańcom.

Opowiadają, że droga podziemna jest tak szeroka, że można jechać karetą w sześć koni. Łączy ona zamek w Mirze z zamkiem w Nieświeżu i wynosi 28 km. Kilka dróg podziemnych prowadzi w lasy, gdzie niegdyś kryli się powstańcy. W r. 1918-19 na podwórzu zamkowym bolszewicy rozstrzelali ludzi. Tylu tam zginęło. Piasek i ziemia całkiem były przesiąknięte krwią niewinnych. Za kilka dni przed odwołaniem bolszewickim został na podwórku zamku rozstrzelany jakiś oficer rosyjski, ksiądz katolicki z pobliskiego miasteczka I szkoldź i duchowny prawosławny. Ciała ich nie zostały zakopane do ziemi, lecz zarzucone różnym chwastem, chróstem i t. d.

Wieczorem tegoż dnia zjawił się u głównego komisarza starszek dziewięćdziesięcioletni, duchowny prawosławny, z prośbą o pozwolenie pogrzebania straconych. Komisarz był wściekły.

— Rozstrzelać—krzyknął wskazując na starca.

— Jestem już trupem i śmierć mnie nie przestrasza. Przyszedłem, by spełnić mój obowiązek.

— Won—krzyknął komisarz.

Wyrzucono za drzwi i zbito biednego batiuszkę, tak że wkrótce umarł, ale i groźny komisarz i bolszewicy także poszli. Wojska polskie zajęły miasteczko. Komendant od razu dał zezwolenie

na pogrzebanie męczenników. Cóż to była za uroczystość! Co za nastrój! Duchowni obu wyznań i niezliczona ilość wiernych. Trzy trumny (żołnierze w nocy włożyli do trumien zwłoki zabitych) stały na podwórzu zamkowym. Z głośnym szlochaniem rzuciły się tłumy na trumny swych pasterzy. Tylko trumna oficera była nieco osamotniona, gdyż był nikomu nieznanym, ale i jemu rzucono kwiaty i wianki i za jego duszę wznosiły się modły i dym kadzideł, a ludzi było tyle, że nie tylko podwórze zamkowe, ale i dokoła ścian i na wałach było pełno. I w cerkwi i kościele biły dzwony. Ludzie cieszyli się i płakali razem ciesząc się, że już swobodnie, głośnie i śmiało mogą Pana Boga chwalić, że ustały rareszcie te krzywdy i krew.

Tylko jedna istota, która od stuleci zamieszkiwała zamek, nie brała udziału w ogólnej radości ani w ogólnym smutku. O tej właśnie istocie chcę opowiedzieć, ale muszę wrócić do dawnych czasów, kiedy nawet książąt Radziwiłłów nie było na świecie. Na zamku mirskim panował wówczas potężny Mirowój I. Posiadał on niezliczone skarby i jedynaczkę, córkę Miłolikę, tak niezwyklej urody, że w całym świecie nie było ładniejszej. Kto raz tylko na nią spojrzał, od razu się zakochał, tak że już nigdy nie mógł kochać innej kobiety. Śliczna królowna miała w sobie coś takiego, że ciągnęło do niej wszystkich, starych i młodych, bogatych i ubogich. Toteż nie tylko poddani potężnego Mirowoja, ale młodzieńcy całego świata szli na zamek, by choć raz spojrzeć na piękną królownę.

Królowna cieszyła się i śmiała. Śliczna była. Śliczna jak anioł, ale dumna, zła i przewrotna. Kochała tylko siebie i swoją urodę. Cieszyła się, że wszyscy się w niej kochają, ale sama nie kochała nikogo. Najbardziej dumną i szczęśliwą się czuła królowna, kiedy przelewał krew i ginął zakochany rycerz lub zwykły śmiertelnik. Wtedy się cieszyła i śmiała królowna. Toteż urządzała krwawe turnieje, na których wzajemnie zabijali się rycerze. Wzbudzała zazdrość, pojedynki i zabójstwa. Młodzieńcy musieli wykonywać takie czyny, przy których wykonywaniu ginęli sami lub zabijali innych. A królowna cieszyła się i śmiała. Lała się krew, ginął kwiat młodości, nadzieja i obrona kraju. Zaniepokojony król błagał córkę, aby zaprzestała rozkochiwać w sobie młodzieńców, aby pokochała kogoś i wzięła sobie męża, bo inaczej grozi krajowi upadek, ale królowna cieszyła się i śmiała i jeszcze więcej wabiła wszystkich.

Ojcowie, matki, żony i narzeczone przeklinali królownę. Królowie i rycerze krajów sąsiednich grozili wojną. Płacz i narzekania słychać było w całym kraju, a królowna cieszyła się i śmiała. Matki przychodziły pod zamek królowny, płakały po swych synach,

tak że koło zamku powstało jezioro łez, a królowna cieszyła się i śmiała.

W głębokiej Puszczy Nalibockiej mieszkała biedna wdowa z synem jedynakiem. Młodzieniec był piękny, zdrowy i wesoły, kochał matkę, był dla niej jedyną radością i szczęściem. Toteż kochała go matka więcej, niż własne życie i tylko prosiła Boga, aby syn jej nie wpadł w sidła królowny. Aż pewnego nieszczęsnego dnia poszedł młodzieniec do miasta, by sprzedać zrobione przez siebie kobiałki i uzbierane przez matkę grzyby. A usłyszawszy o cud-królownie postanowił udać się na zamek, by choć z dala spojrzeć na nią. „Nie będę zbliżać się do niej“ — mówił sobie, — „tylko z daleka spojrzę.“

Gdy tak stał pod wałem zamkowym, wyszła królowna, a ujrawszy pięknego młodzieńca uśmiechnęła się do niego, posłała mu ręką całusa i kazała przyprowadzić do zamku. Tam tak się przymilała, że chłopiec o bożym świecie zapomniał i gotów był na śmierć i okrutne katusze dla pięknej królowny. Wtedy kazała królowna, aby przyniósł jej małe lwiątko, co przed kilku dniami urodziło się w klatce lwicy. (Król Mirowoj posiadał własny zwierzyniec, czy jak teraz mówią własne Zoo), gdyż chce się z nim pobawić.

Młodzieniec był wychowany w Puszczy Nalibockiej, może by poradził z niedźwiedziem, ale lwicy nie widział, a ponieważ nie posiadał żadnej mocy nadprzyrodzonej ani broni zaklętej, więc od razu został rozszarpany przez lwicę. A królowna cieszyła się i śmiała. Nieszczęsna matka przywlokła się z puszczy, stanęła nad jeziorem łez przy zamku i tak długo płakała, tak prosiła Boga o ukaranie królowny, aż zmarła od płaczu i wycieńczenia. Nad grobem jej wyrosła wysoka brzoza i kąpała swe gałęzie w jeziorze łez. Ale królowna już się nie cieszyła i nie śmiała. Sprawiedliwy Bóg wyznaczył jej straszną karę. Włożył w jej serce nieprzepartą chęć miłości, ale wszystkich serca odwróciły się od niej. Przymilała się królowna i wabiła jak dawniej, lecz niestety, żaden już jej nie chciał, żaden nie był czuły na jej wdzięki. Królowna zaś miała żyć wiecznie z tym nieodwzajemnionym uczuciem.

Minęły lata, dziesięciolecia, minęły wieki, umarł Mirowoj. Obcy zabrali kraj i zamek. Zmieniły się ludzie, zmieniły się czasy. Tylko piękna królowna Miłolika żyje, cierpi i pragnie miłości. W nocy księżycowe w białej powłóczystej sukni z rozpuszczonym włosom chodzi po wałach, dookoła zamku, wyciąga błagalnie ręce i jęczy i prosi — „pokochaj, ach, pokochaj“. Ale ludzie boją się i uciekają szepcząc modlitwy. Lecz gdyby znalazł się taki, który by odważnie objął królownę i pokochał, królowna by odrazu zmieniła się w dobrą

i łagodną, cudownej urody kobietę, a szczęśliwy śmiałek dostałby najpiękniejszą w świecie żonę, a z nią niezliczone bogactwa i władzę.

Jeżeli się taki nie znajdzie, biedna królowna Miłolika będzie wiecznie chodzić dookoła zamku i błagać miłości. Dopiero na strasznym sądzie Pan Bóg wyda na nią wyrok ostateczny.

Tę ciekawą legendę, związaną z Jej krajem lat dziecinnych, opowiedziała mi moja Mamusia pewnego długiego wieczoru zimowego.

N. Szaszko — Chwoszczyńska kl. II.

„Andrzejki“ na wsi.

(Wieś Lyczakowo, gm. jaźnieńska, pow. dziśnieński).

W tym roku podczas wakacji dowiedziałam się od dziewcząt ze wsi, w której mieszkam, jak obchodzą „andrzejki“. Zbierają się wszyscy do jednego domu i po zachodzie słońca rozpoczynają wróżby. Całe towarzystwo wychodzi z izby, a pozostały „warażbit“ rozkłada na stole trzy czapki, pod którymi ukryty jest pierścionek, kwiat i węgiel. Woła następnie jedną osobę do izby. Ta przychodzi, podnosi jedną z czapek i zagląda, co się pod nią kryje. Nic nie mówiąc przykrywa przedmiot z powrotem czapką i siada gdzieś w kącie. Wchodzi druga osoba, trzecia i t. d., dopóki wszyscy nie skończą wróżyć. Gdy już wszyscy siedzą na ławach w izbie, „warażbit“ tłumaczy, co oznaczają ukryte pod czapkami przedmioty. Pierścionek oznacza ślub, kwiat — wesołe i szczęśliwe życie, a węgiel — śmierć kogoś z rodziny.

Wróżą jeszcze w inny sposób. Dziewczyna zamiata izbę, wynosi śmiecie na dziedziniec i słucha, w której stronie psy szczekają. Kierunek oznacza, że tam wyjdzie za mąż.

Chłopiec rzuca marynarkę na płot, a potem liczy kołki nakryte marynarką. Liczba parzystą oznacza, że będzie dłużej żył od swojej żony.

O godzinie 12-iej w nocy dziewczyna bierze pełną garść siemienia i wychodzi do sieni. Rzuca je teraz w cztery rogi na krzyż i mówi: „siemia, majo siemia, zawiadzi nianie u tyi sieni, kudy ja zamuz wyjdu“. Następnie z nikim nie rozmawia i idzie spać. O ile wyjdzie jeszcze w tym roku za mąż, przyśni się jej dom, w którym mieszka jej przyszły mąż.

Niektórzy liczą jeszcze gwiazdy: kto w ciągu dwóch minut więcej naliczy, ten dłużej będzie żył.

Wróżby te, o których opowiedziała mi młodzież wiejska, spałam dokładnie, a niektóre sama nawet widziałam.

L. Sinicówna kl. VII.

Nasze nagrody.

Zapowiedziane w Nr. 1. „Naszego Głosu“ nagrody w postaci książek za najlepsze artykuły, zamieszczone w tym Nr., zostały rozdzielone w następujący sposób:

Smolarskiego „Przygody polskich podróżników“ otrzymała N. Szaszko-Chwoszczyńska, ucz. kl. II, za opowiadanie p. t. „Gdy byłam jeszcze małeńka“. Książka Ossendowskiego „Mocni ludzie“ przypadła w udziale J. Jakubionkównie, ucz. kl. VIII, za opis wycieczki szkolnej „Z Dżisny — w świat!“. Redakcja w przyznaniu nagród oparła się na opinii czytelników — uczniów naszego gimnazjum.

Do Nr. 2 „Naszego Głosu“ przygotowano dla młodszych (kl. I, II, III) Nowakowskiego „Złotówka Manoela“ i dla starszych (kl. IV, VII, VIII) Curwooda „Dolina ludzi milczących“.

Nagrodę otrzyma autor najlepszej pracy, który po raz pierwszy nadesłał materiał do „Naszego Głosu“. Drugi nasz afisz wzywał: „Poszukujemy nowych współpracowników“.

Rozwiązanie łamigłówek z № 1.

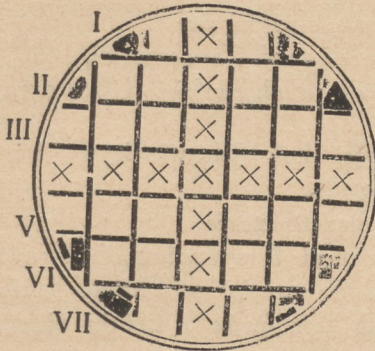
Znaczenie wyrazów:

- I. gubernator
- II. wódka
- III. mops
- IV. j

Przysłowie:

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Krzyżówka 2.



Pionowy słupek kratek oznaczony krzyżykami i przecinający go pionowy słupek kratek mają to samo znaczenie: państwo w Azji Mniejszej.

Poziome słupki kratek należy wypełnić wyrazami, których znaczenie podane jest niżej:

- I Miesiąc w roku.
- II Inaczej straż.
- III Inaczej sklepikarz.
- V Inaczej pokój.
- VI Inaczej opowiadanie.
- VII Rzeka w Polsce.

A. Kałmanowicz kl. II.

Kalendarz reportera.

- 13.X.36. Walne Zgromadzenie członków L. M. K. wybrało członków Zarządu w składzie: kol. kol. Maćkówna (VIII), Masłowska (IV), Ryndzionek (VII), Iljin (III). Podział funkcji w Zarządzie L. M. K. nastąpi później. Doniosłość popierania L. M. K. podkreślili w przemówieniach: p. prof. D. Arem, p. prof. Z. Gergowich oraz kol. Wasilewski (VII) w referacie „Znaczenie L. M. K.“.
- 13.X.36. Wystawa prac konkursowych na okładkę „Naszego Głosu“ w świetlicy uczniowskiej w „Białym Domu“.
- 17.X.36. Wileński teatr objazdowy pod dyrekcją Szpakiewicza odegrał w sali „Domu Ludowego“ sztukę Fodora „Matura“.
- 24.X.36. Uroczysty obchód ku czci ks. J. Poniatowskiego, patrona kl. IV.
- 25.X.36. Zebranie Koła Literackiego. Na Zebraniu drogą dyskusji omówiono nowelkę Iwaskiewicza „Panny z Wilka“.
- 30.X.36. Zorganizowano P.W.K. Zapisało się 29 uczennic z kl. III i IV.

31.X.36. Celem popularyzacji idei oszczędności zorganizowano obchód dnia Oszczędności.

Na program obchodu złożyło się:

- 1) Zagajenie p. prof. Żebrowskiej.
- 2) Referat kol. Wróblewskiej (IV) o oszczędności.
- 3) Deklamacje: kol. Jakowickiej (I) i kol. Ra-
bińskiego (I).
- 4) Konkurs oszczędzania.

31.X.36 Zasadzenie drzewek przez kl. II wzdłuż ul. Szarkowskiej.

8.XI.36 Miejscowy Z. S. odegrał na scenie w „Domu Ludowym“ sztukę Bałuckiego „Klub kawalerów“. Sztuka cieszyła się powodzeniem.

10.XI.36. Młodzież gimnazjalna wysłuchała przez radio uroczystości wręczenia buławy marszałkowskiej Generalnemu Inspektorowi Sił Zbrojnych gen. Śmigłemu-Rydzowi. Po audycji odbył się wieczorek, urządzony staraniem samorządu klasowego klasy I.

Na program złożyło się:

- 1) Zagajenie opiekuna klasy I p. prof. D. Arema.
- 2) Referat kol. Szczuckiej o Śmigłym-Rydzowi.
- 3) Deklamacja kol. Lisówny.
- 4) Obrazek sceniczny „Zasadzka“.

Wieczorek zakończył się zabawą taneczną, urządzoną staraniem U. S. W.

11.XI.36. Młodzież gimnazjalna wzięła udział w uroczystym poranku, urządzonym przez Samorząd, i w ogólnym obchodzie święta Niepodległości.

W dniu tym zebrały składki na pomoc zimową dla bezrobotnych następujące organizacje młodzieżowe na terenie gimnazjum:

Redakcja „Naszego Głosu“ ze sprzedaży 40 numerów pisma	zł. 11,15
Harcerstwo	11,76
Samorząd klasy IV	1,70

Razem zł. 24,61 gr.

Wieczorem Z. S. po raz drugi wystawił sztukę Bałuckiego „Klub kawalerów“. Dochód przeznaczony na pomoc zimową dla bezrobotnych.

14.XI.36. Walne Zgromadzenie członków L. O. P. P. z referatem

- kol. Apicionka: „Co mi dał kurs L. O. P. P. i O. P. G.“.
 16.XI.36. Wileński teatr objazdowy odegrał w sali „Domu Ludowego“ komedię Kiedrzyńskiego „Kobieta i jej tyran“.
 17.XI. 36. Odbyła się radiowa audycja muzyczna.
 21.XI. 36. Klasa IV urządziła sobótkę, na którą zaprosiła klasę III.

Kronika z Wilna.

Dnia 23. VI. 36 r. nasz kolega, ks. Klemens Piwowaruk, przyjął święcenia kapłańskie i otrzymał absolutorium na Wydziale Teologicznym U. S. B. w Wilnie. Gimnazjum nasze ma już dwóch księży: pierwszym był ks. Jan Licenowicz, wyświęcony w 1934 r.

* * *

Nasi zeszłorocznicy maturzyści Zenon Łasowski i Herman Mackiewicz po odbyciu zamkniętych rekolekcji w Seminarium Wileńskim dnia 1 listopada b. r. włożyli po raz pierwszy suknię duchowną.

* * *

Odpowiedzi Redakcji.

A. Ch. „Znaczenie radia w życiu człowieka“.— cóż można na taki temat powiedzieć poza banalnymi, utartymi komunałami? Takie tematy jak „znaczenie radia, znaczenie książki w życiu człowieka“ nie nastroją materiału do dyskusji, gdyż są już całkowicie zużyte. Stosunek do tak postawionego zagadnienia pozostaje całkowicie abstrakcyjny, bezosobisty i nikogo nie może zainteresować. Można natomiast coś nowego i ciekawego powiedzieć w swoim osobistym stosunku do radia, do książki, a więc np: jaki dział radia najbardziej mnie interesuje, technika realizacji tego działu, inne możliwości w tym dziale albo np. jakie zagadnienie moralne, społeczne mnie interesuje i jak ono jest rozwiązane przez jakiegoś autora, czy to mi odpowiada, czy nie i t. p.

H. W. „Książka w życiu człowieka“ — patrz wyżej **A. Ch.**
W. S. „Noc majowa“, „Jesień“ — nie pisz wierszyków, bo to niełatwa rzecz. Może znasz jakąś legendę — napisz, chętnie ją zamieścimy.

Bejot. „Humor i satyra“ — zbyt ponure, zaczekamy na lepszy humor Autora.

Resztę prac z powodu spóźnionego doręczenia odkładamy do przejrzania i ewentualnego zamieszczenia w numerze następnym. Autorzy nic na tym nie tracą, gdyż warunki konkursu (patrz afisz N. 2. pod hasłem „Poszukujemy nowych współpracowników“) zostają przedłużone do N. 3.

Z przyczyn najzupełniej niezależnych od Redakcji N. 1. „Naszego Głosu“ ukazał się z opóźnieniem, jak również kolor okładki i gatunek papieru nie odpowiadały naszym projektom.

Od Koła Sportowego.

W związku z artykułami kol. L. Cytowicza p. t. „Coś niecoś o zawodach i „Dlaczegośmy przegrali“, zamieszczonymi w N. 1. „Naszego Głosu“ Koło Sportowe oświadcza, iż są one wyrazem opinii tylko ich autora, której Koło Sportowe nie podziela.

Z OKAZJI ZBLIŻAJĄCYCH SIĘ ŚWIĄT BOŻEGO
NARODZENIA REDAKCJA „NASZEGO GŁOSU”
SKŁADA ŻYCZENIA

„Wesołych Świąt“

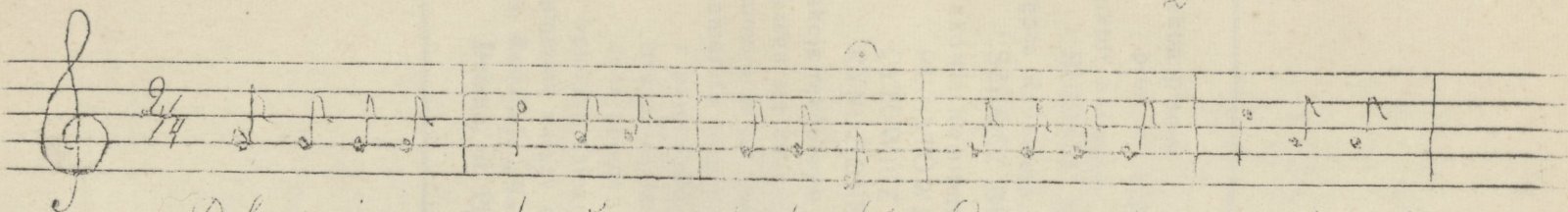
P. DYREKTOROWI, PP. PROFESOROM Z KSIĘ-
DZEM PREFEKTEM NA CZELE, KOLEŻANKOM
I KOLEGOM ORAZ WSZYSTKIM CZYTELNIKOM
I SYMPATYKOM NASZEGO PISMA.

R E D A K C J A.

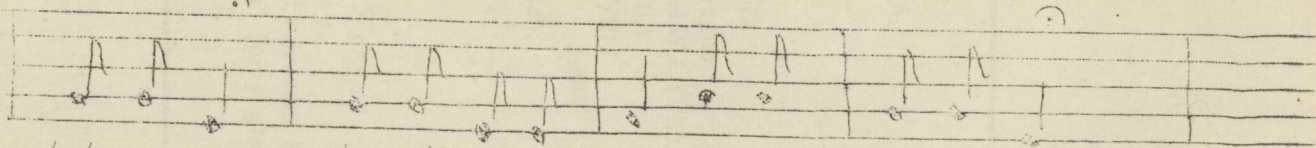


Dzienczynka.

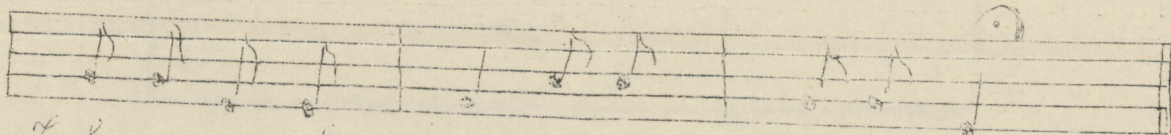
Wies Gniexdzit'oro, per. dzis'n.
spisana Janina Wroblewska,
ucz. k. 18.



Dobry wie-czu, dziauczyna, kudy idziesz, Pa-kazy mnie cha-taczku,
Dobry wie czot, dzieczyno, gdzie idziesz, Pokaz ty mnie cha-taczke,



gdzie i ywiesz. Wundkie maja cha-taczka li na dy,
ydzie i yjesz. Tam to moja cha-taczka przy rockie,



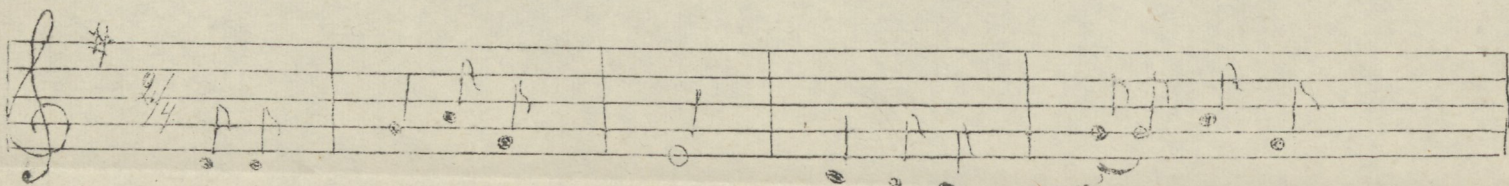
Lcha-ro-sza-ho dzie-rauca, z li-biu-dy.
I to z dobre — go ckesa, z lebie-dy.

Tam chadzila swinaczka dla nady,
Abiarnula chataczku z libiady.
Badaj taja swinaczka przepata,
Skolki jenu biedarcki zrabila.

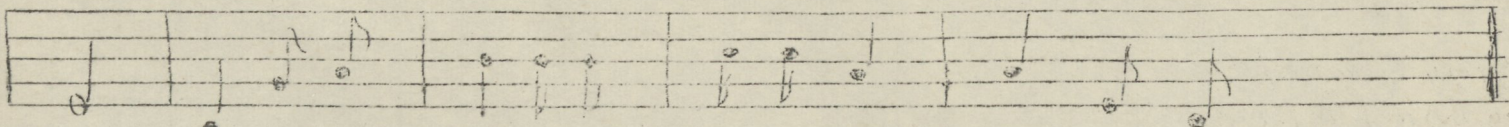
Tam chadzila swinka kolo rody,
Obrócila chataczki z lebiody.
Ach! gdyby ta swinka zginila,
Tle to ona biedy zrabila.

A u brodu.

Wies Stefanpol, per. dzis'n.
spisana H. Mastowska, k. 11.



A u broduka — linu, u-wies kuh u-kra-
A u broduka — linu, cała, Łaks o-zdo-



si — Ła. Nie su — nierojna kaj druzyn — ka maja.
li-Ła. Oj! i nierojna Ła moja druzynka.

Opiekun pisma:

prof. W. CHMIELEWSKA.

Redaktor naczelny:

BUJONEK JÓZEF (VIII).

Zastępca Redaktora:

SZUBICZ BEJRACH (VIII).

Członkowie Komitetu Redakcyjnego:

PUCIATÓWNA MIROŚLAWA (VII).

CYTOWICZ LEONID (VIII).

RYNDZIONEK JÓZEF (VII).

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Zastrzega się zmianę w rękopisach.

Pseudonimów nie uwzględniamy.

Prenumerata roczna:

z przesyłką... 1 zł. 25

bez przesyłki... 1 zł.

cena pojedynczego Nr. 25 gr.

Cena ogłoszeń zależnie od umowy.

Prenumeratę należy wysłać pod adresem Redakcji.

Adres: **Redakcja „Naszego Głosu“** (przy gimnazjum),

Dzisiaj, ul. Piramowicza 1.

LMA VRUBLEVSKIŲ BIBLIOTEKA



002 00455637 8

P. 051579